

MICHALINA DĄBKOWSKA

ur. 1921; Wieliż k. Witebska

Miejsce i czas wydarzeń	Lublin, dwudziestolecie międzywojenne
Słowa kluczowe	Lublin, dwudziestolecie międzywojenne, ulica Bernardyńska, ulica Bernardyńska 14, ulica Bernardyńska 14a, dzieciństwo, sąsiedzi, profesor Krzyżanowski, Julian Krzyżanowski, Ludwik Kamykowski, profesor Kamykowski, szkoła handlowa, Gimnazjum Męskie im. A. i J. Vetterów, dzieciństwo, zabawy, koledzy, podwórko, boisko szkolne, jezuici, sodówka, Żydzi, stosunki polsko-żydowskie, pies Lord, lody

Dom przy ulicy Bernardyńskiej

Przyjechaliśmy do Lublina w 1923 roku i tutaj zostaliśmy zakwaterowani w szkolnej kamienicy, która należała do Zgromadzenia Kupców w Lublinie, obecnie jest to szkoła im. Vetterów. Zamieszkaliśmy w kamienicy, w której mieszkali profesorowie, którzy uczyli w tejże szkole, był dozorca, byli woźni. Naprzeciwko była plebania, bo to sąsiadowało z kościołem Bernardynów, i tam z kolei żył organista, który miał czworo dzieci. Jedna z jego córek, Danuta, była moją przyjaciółką prawie że od samego początku, więc znamy się już osiemdziesiąt lat. Dzieci były i u pana dozorczy, i u pana woźnego, zawsze żeśmy je traktowali jednakowo, wszyscy żeśmy się przyjaźnili, bawili na podwórku, które leżało pomiędzy naszym budynkiem i budynkiem szkolnym, szkoła miała jeszcze drugie podwórko, plac sportowy, gdzie poza godzinami [lekcyjnymi] wszystkie dzieci mogły się gromadzić i grać w piłkę, skakać do piasku, grać w siatkówkę już w trochę starszym wieku. Z boiska sportowego bardzo żeśmy chętnie korzystali, a najchętniej w czasie wakacji. Naprzeciwko też były dzieci, które przychodziły do nas właśnie ze względu na te wyjątkowo sportowe warunki, którymi myśmy tutaj dysponowali. Czasem tośmy nawet i w szkole urządzali zabawy w chowanego, po dwóch piętrach można było skakać, oczywiście to było tylko w miesiącach wakacyjnych. To jest [moje] dzieciństwo.

W czasie okupacji szkołę zajęli Niemcy, więc wtedy oczywiście budynek był niedostępny. Natomiast jeśli chodzi o naszą kamienicę, właściwie dwie kamienice obok siebie, to były zamieszkałe dalej i ci ludzie, którzy mieszkali w szkole, musieli przenieść się i wtedy już trochę było ciasniej, ale dzieci już były dorosłe i częściowo pracowały. Ja nazywam to moim budynkiem, w tej chwili to jest budynek przekazany domowi kultury. Budynek jeszcze przed naszym przybyciem do Lublina był

zamieszkały przez profesora Krzyżanowskiego, który uczył polskiego najpierw w szkole Vetterów, ale wyprowadził się i po nim właśnie myśmy dostali to mieszkanie. W sąsiedztwie [mieszkał] profesor Kamykowski, który miał troje dzieci, z wszystkimi byliśmy zaprzyjaźnieni. [Przeniósł się] na Uniwersytet Jagielloński i wyjechał do Krakowa, natomiast [do mieszkania po nim] sprowadzili się obcy ludzie, ale utrzymujący dobrosąsiedzkie kontakty. Ten budynek na Bernardyńskiej 14A przynależał do dóbr kościelnych, miał jakieś połączenie z kościołem Bernardynów po drugiej stronie ulicy i kościołem Jezuitów, który z kolei ma wejście od ulicy Królewskiej. W tymże budynku, który przynależał do jezuitów, mieszkali na piętrze zakonnicy i kontaktowali się z dziećmi będącymi na podwórku, wśród których także i ja się znajdowałam. Lubili nas i zrywali ze swoich jabłonek przez okno jabłka, jeżeli to było jesienią, rzucali nam to z poczęstunkiem, czasem cukierki, a kiedyś nawet dostaliśmy takie duże jajo, chyba firmy Franboli, bo chyba wtedy Wedel jeszcze nie był taki popularny, jak u nas w Lublinie właśnie był Franboli. To było jajko, które w środku zawierało bardzo dużo cukierków, [dostaliśmy je] chyba jako nagrodę za to, że bawimy się znośnie.

Jedną część tego gmachu miała sufity jeszcze ze sklepieniami kolebkowymi, a w tym mieszkaniu, gdzie myśmy zamieszkali, już były niestety zniszczone te sufity, na płasko [przerobione], ale w mieszkaniu znajdowały się takie duże wgłębienia i szafki, które dawniej najprawdopodobniej w przybytku kościelnym mogły być jako kapliczki albo coś takiego, to u nas później znalazło zastosowanie jako spiżarka. Co bardzo ciekawe – mury tego budynku miały koło metra szerokości, już po wojnie, kiedy zmieniły się czasy, już tylko kilku lokatorów zostało w tym gmachu szkolnym, bo szkoła chciała koniecznie przejąć ten gmach na swoje potrzeby, dyrekcja szkoły Vetterów na parterze umieściła taki pokój, w którym uczniowie uczyli się grać na bębnach i trąbach. I [odgłosy] tych trąb i bębnów nie przechodziły w ogóle na pierwsze piętro, w ogóle nie było ich słychać. A dyrektor śmiał się i mówił: „Pani będzie wesoła”, a ja mówię: „Panie dyrektorze, ja nic a nic nie słyszę”, takie były właśnie ściany grube.

Kiedy ja miałam te 8 czy 10 lat, w tej kamienicy od ulicy był taki mały sklepik, to była sodówka, którą prowadził Żyd, zapomniałam już jego nazwisko, miał takie charakterystyczne żydowskie nazwisko, i on trochę bał się, bo nasz pies Lord nie lubił Żydów. Moi bracia byli o tyle chytry, że powiedzieli mu, że Lord lubi bardzo lody i chodzili do tego Żyda na lody, kładli Lordowi na pysk, a Lord podrzucał do góry i chapał te lody, oczywiście to latem było, a Żyd tylko patrzył. Potem przychodził do nas i prosił o wypożyczenie psa, sadzał go przed sodówką, kładł lody na pysk psu, pies łykał, a wtedy dzieci albo inni interesowali się sodówką, przychodzili i kupowali te lody. Więc on sobie reklamę w ten sposób robił, to były nasze stosunki takie.

Dzięki temu, że na drugim podwórku, tym szkoły Vetterów, był płot, na który można było wejść po drzewie, po kasztanie – bo tam rosły kasztany, więc na drzewo się wchodziło i z drzewa wskakiwało się na płot – widać było przez okna mieszkania

różnych ludzi. Najczęściej to były mieszkania żydowskie, bo to było od Królewskiej, a tam właśnie dużo było żydowskich kamienic. Myśmy mogli obserwować z płotu, jak się odbywały wesela, jak tańczyli na tych weselach, a jeśli chodzi o ubiory, no to większość Żydów była w myckach, w czarnych chałatach albo w kapeluszach takich specjalnych i oni się nie kryli z tym.

Data i miejsce nagrania	2005-03-23, Lublin
Rozmawiał/a	Jakub Żelawski
Redakcja	Justyna Molik
Prawa	Copyright © Ośrodek "Brama Grodzka - Teatr NN"